

Jaime Salom

INTRYGNA

(„La Trama”)

Przełożyła Rubi Birden

Rubi Birden

e-mail: rubi@rubi.pl

rubi@post.pl

Osoby:

Andrzej
Marta
Sylwia
Robert
Roicki

AKT I

Scena pierwsza

Gabinet dr Lipskiego. Z jednej strony drzwi, które wychodzą na poczekalnię, z drugiej zaś na schody prowadzące do pokoi na piętrze. Na środku ogromne okno. Późny wieczór. Lekarz właśnie pije drinka, kiedy rozlega się dzwonek interkomu.

ANDRZEJ: *(głos z offu przez interkom)* Tak?

MARTA: *(głos z offu przez interkom)* To pani Borowiecka. Zapisać ją na jutro rano?

ANDRZEJ: *(głos z offu przez interkom)* Nie. Niech wejdzie.

MARTA: *(głos z offu przez interkom)* Dobrze.

Chwilę później otwierają się drzwi i wchodzi Sylwia.

SYLWIA: Pamięta mnie pan, doktorze...?

ANDRZEJ: Oczywiście. Proszę, niech pani wejdzie.

SYLWIA: Byłam u pana jakiś czas temu. Ta terapia, którą mi pan zalecił, była zaiste cudowna. Czuję się o wiele lepiej... Jestem o wiele szczęśliwsza.

ANDRZEJ: Miło mi to słyszeć.

SYLWIA: Ale tym razem będę potrzebowała podwójnej dawki... *(całuje go)*

ANDRZEJ: Te twoje żarty za każdym razem wprawiają mnie w osłupienie.

SYLWIA: Dlaczego?

ANDRZEJ: Mówisz to tak poważnie, że kompletnie zbijasz mnie z pantafelku... Sam nie wiem; masz zupełnie inny wyraz twarzy, uśmiechasz się...

SYLWIA: Bzdura!

ANDRZEJ: Staram się. Żebyś jak zwykle nie powiedziała, że nie mam poczucia humoru. Ale przysięgam ci, że czasem nie wiem, czy robisz sobie ze mnie żarty czy masz zamiar popełnić zbrodnię.

SYLWIA: Dlaczego to powiedziałeś?

ANDRZEJ: Co powiedziałem?

SYLWIA: To o zbrodni.

ANDRZEJ: Nie wiem, tak mi nagle przyszło do głowy. Po co przyszłaś? To nieostrożne.

SYLWIA: Chciałam cię zobaczyć.

ANDRZEJ: Tyle razy ci mówiłem, że gabinet to bardzo ryzykowne miejsce. A gdyby przed chwilą weszła pielęgniarka?

SYLWIA: Założę się, że jest przyzwyczajona do takich scenek. Na pewno to by nie był pierwszy raz, kiedy by cię nakryła na całowaniu się z pacjentką.

Wchodzi Marta z kartą pacjenta.

MARTA: Pani karta.

ANDRZEJ: Świetnie. Dziękuję. Jest już późno. Możesz iść do domu. Nie będziesz mi już potrzebna.

MARTA: Muszę jeszcze uporządkować trochę danych. Nie spiesz mi się. Posiedzę jeszcze, jeśli to panu nie przeszkadza.

ANDRZEJ: Nie, nie... wręcz przeciwnie. Dziękuję. *(Marta wychodzi)*

SYLWIA: Jest w tobie zakochana.

ANDRZEJ: Lubię, kiedy masz taki dobry humor.

SYLWIA: Tym razem mówiłam zupełnie poważnie. Nie mówię tego dlatego, że może ty jesteś w niej zakochany, ale dlatego w jaki sposób ona na ciebie patrzy. A jak na mnie łypie! Jak na wroga numer jeden.

ANDRZEJ: Słuchaj, może pojedziemy w nasze miejsce? Tam będziemy mieli spokój.

SYLWIA: Kiedy mnie się tu podoba. Lubię cię obserwować w twoim gabinecie, w twoim środowisku naturalnym, otoczonego twoimi rzeczami. Tutaj spędzasz większość czasu, tu się uczysz, tu pracujesz, tu myślisz... To wszystko się na ciebie składa. Wszystko, czego nie mogę sobie przypomnieć myśląc o tobie, jest w tym pokoju.

ANDRZEJ: Ale powinniśmy być ostrożni.

SYLWIA: A kto może wiedzieć, że tutaj jestem? A nawet jakby wiedzieli... Nie mogę przyjść na konsultację do lekarza jak każda inna pacjentka?

ANDRZEJ: No, tak, oczywiście, ale byłoby lepiej, gdyby...

SYLWIA: Mówisz to, bo ona tu jest? *(mając na myśli Martę)* A może to twoja kochanka?

ANDRZEJ: Co też ci przychodzi do głowy.

SYLWIA: A dlaczego by nie? Jest słodka. A te historie o lekarzach i pielęgniarkach? To już klasyczne. Chociaż przyznam, że byś mnie rozczarował. To by było takie banalne.

ANDRZEJ: Proszę cię...

SYLWIA: Nie znoszę tego mieszkania, mówiłam ci to tysiąc razy. Wszystko jest tam koszmarnie. Lampka na szafce nocnej, okropne obrazy na ścianach, obicie foteli. Nawet my tam brzmimy jakoś nienaturalnie. A przede wszystkim nienawidzę tej obrzydliwej staruchy ze sklepu z materiałami na Wawelskiej. Zachowuje się wobec mnie tak sztucznie, z tym swoim uśmiechem „wspólniczki”. Poza tym mówi mi „Dobry wieczór, panienko” z taką ironią w głosie...

ANDRZEJ: To miejsce jest idealne! Apartament, do którego wchodzi się przez zaplecze sklepu. Trudno by było znaleźć coś jeszcze bardziej ukrytego. To było dokładnie to, czego potrzebowaliśmy. Wcale nie było łatwo znaleźć takie miejsce.

SYLWIA: Wiem. Ale aż się we mnie gotuje, jak ta stara mnie wita, z tą swoją wkurzającą poufałością, jakby chciała mi powiedzieć: „Nie bój się, nikt się nie dowie, przecież obie wiemy, o co chodzi...”

ANDRZEJ: Jeśli aż tyle cię to kosztuje, poszukamy nowego miejsca.

SYLWIA: Po co? Byłoby dokładnie to samo.

ANDRZEJ: No to co możemy zrobić? To małe miasteczko z całą hipokryzją małych miasteczek... Najbardziej bym chciał, żebyś się wprowadziła tutaj, do mnie, mając w nosie te wszystkie przesady. Ale przecież to ty nie chcesz.

SYLWIA: Nie masz pojęcia jak bardzo mam dość tego udawania.

ANDRZEJ: No to zrób to, wszystko zależy od ciebie.

SYLWIA: Nie mogę. Przynajmniej na razie.

ANDRZEJ: Nie byłabyś pierwszą mężatką, która opuszcza swojego męża.

SYLWIA: Wiesz jacy są tutaj ludzie.

ANDRZEJ: A co nas obchodzą ludzie?

SYLWIA: Tędy się wchodzi do twojego mieszkania?

ANDRZEJ: Mam sypialnię, salon który służy też jako jadalnia, małą kuchnię i łazienkę, chcesz zobaczyć?

SYLWIA: Już mi pokazywałeś ostatnim razem, jeszcze przed przeprowadzką. Masz pojęcie...? Nasze życia są rozdzielone. Parę godzin razem na tydzień, korzystanie z okazji, a potem... Udawanie, wydzwanianie, zawsze w strachu, że ktoś nas w końcu nakryje. I dlaczego to tak wygląda? Powiem ci dlaczego: jest jedna przeszkoda, tylko jedna przeszkoda. Robert.

ANDRZEJ: Powinniśmy wreszcie coś z tym zrobić, raz a dobrze.

SYLWIA: Nie znasz Roberta. To straszny człowiek, ma ogromną władzę, jest przyzwyczajony do rządzenia i do tego, że wszyscy uginają się przed jego wolą. On jest z tych, co idą jak czołg i nie cofną się przed niczym. Nie umie przegrywać. Kto wie, co by zrobił, gdyby się o nas dowiedział...? Lepiej go nie prowokować, wierz mi.

ANDRZEJ: I dalej ma być tak, jak jest?

SYLWIA: Na razie.

ANDRZEJ: Ile jeszcze?

SYLWIA: Pomyśl przez chwilę, jak by to było, gdyby Robert nie istniał, jak by mu się coś przydarzyło. Nie wiem, jakiś wypadek, choroba... Wszystko samo by się rozwiązało.

ANDRZEJ: Ale to...

SYLWIA: Mógłbyś wtedy przeprowadzić się do mnie. Parter przerobiłoby się na twoją przychodnię. A my mieszkalibyśmy na pierwszym i na drugim piętrze.

ANDRZEJ: Nie rozpędziłaś się zanedo, co?

SYLWIA: Ja tylko śnię na jawie. Wiesz, że Robert jest słabego zdrowia? Serce. Był u kardiologa w Warszawie, musi o siebie dbać, wieść spokojniejsze życie, a oczywiście tego nie robi. Ten kardiolog przepisał mu leki, które ma brać dwa razy dziennie i ja mu je szykuję. Gdyby nie to, w ogóle by nie pamiętał, że ma je wziąć.

ANDRZEJ: No i...?

SYLWIA: Przypuśćmy, że któregoś dnia, przez nieuwagę wpuściłabym do szklanki parę kropeł więcej niż zalecono... Lekarz twierdził, że to może być niebezpieczne.

ANDRZEJ: Wystarczy. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej.

SYLWIA: Nie rozumiem cię.

ANDRZEJ: Insynuujesz coś potwornego!

SYLWIA: Andrzej, mam wrażenie, że... mnie nie...

ANDRZEJ: Przede wszystkim jestem lekarzem. Dla lekarza ludzkie życie jest najważniejsze.

SYLWIA: Na miłość boską, Andrzej, myślę, że źle mnie zrozumiałeś. Mówisz do mnie, jakbym była morderczynią i planowała jakąś zbrodnię.

ANDRZEJ: Kiedy właśnie to sugerowałaś...

SYLWIA: Po prostu analizowałam sytuację. *(dzwonek interkomu)*

ANDRZEJ: Tak?

MARTA: *(głos z offu)* Panie doktorze, jest tu pewien pan, który prosi, żeby go pan przyjął.

ANDRZEJ: O tej porze? Wykluczone.

MARTA: *(z offu)* Już mu mówiłam, ale nalega, żeby się z panem zobaczyć.

ANDRZEJ: Powiedz mu, że teraz nie mogę. Niech wróci jutro. *(wylacza interkom)* Wybacz mi, Sylwio...

SYLWIA: Nie mam ci czego wybaczać. Lubię, kiedy taki jesteś. Taki prawy człowiek. Tacy są ci, którzy wybili się własną pracą. Uwielbiam cię takiego, jaki jesteś...

ANDRZEJ: Nie wiem, czy mnie obrażasz, czy powinienem ci podziękować.

SYLWIA: Ani jedno ani drugie... *(znów dzwoni interkom)*

ANDRZEJ: Co tym razem?

MARTA: *(z offu)* Panie doktorze, nadal nalega. Nie umiem go przekonać. Mówi, że kiedy pozna pan jego nazwisko, przyjmie go pan. To Robert Borowiecki.

ANDRZEJ: Robert Borowiecki? Dobrze, w takim razie niech poczeka. Zaraz go poproszę. *(do Sylwii)* Słyszałaś to?

SYLWIA: Słyszałam. I nic z tego nie rozumiem. Nigdy wcześniej nie był u ciebie jako pacjent?

ANDRZEJ: Nie, oczywiście, że nie. Przecież bym ci powiedział.

SYLWIA: To dziwne. O tej porze zazwyczaj jest w stoczni.

ANDRZEJ: Może wie, że tu jesteś?

SYLWIA: Nie. Skąd mógłby wiedzieć? *(wygląda przez okno)* Zaparkował samochód vis a vis wejścia, nie mogę wyjść, szofer mnie zobaczy...

ANDRZEJ: Poczekaj, spróbuję się go szybko pozbyć. A może sprawdził, gdzie...?

SYLWIA: Niemożliwe. Pewnie chce poprosić cię o konsultację w kwestii serca. Chociaż tego nie okazuje, jest przewrażliwiony. Nie martw się.

ANDRZEJ: W takim razie dlaczego upierał się, żebym poznał jego nazwisko?

SYLWIA: Wie, że to nazwisko otwiera mu wszystkie drzwi.

ANDRZEJ: Chciałbym być tego tak pewny, jak ty.

SYLWIA: Możesz być. *(wychodzi, Andrzej chowa szklanki, rozmawia przez interkom)*

ANDRZEJ: Marta. Wprowadź pana Borowieckiego.

MARTA: *(z offu)* Już teraz?

ANDRZEJ: Oczywiście, teraz.

Po chwili otwierają się drzwi, pojawia się Robert i Marta.

ROBERT: Doktor Lipski, jak mniemam. Nie miałem przyjemności osobiście pana poznać, ale wszyscy mi o panu opowiadają. Cieszę się, że mogę się spotkać z tak kompetentnym specjalistą.

ANDRZEJ: Dziękuję bardzo. *(Andrzej częstuje go papierosem z pudełka)*

ROBERT: Dziękuję. Nie palę papierosów. *(wyciąga z kieszeni etui na cygara)* Ma pan ochotę?

ANDRZEJ: Nie, dziękuję.

ROBERT: Panie doktorze, proszę mi wybaczyć moje naciski, ale my, biznesmeni, jesteśmy bardzo zajęci... Poza tym musiałem zobaczyć się z panem dziś po południu.

ANDRZEJ: Nie szkodzi.

MARTA: *(przygotowuje się do wypełnienia karty)* Pańskie nazwisko?

ROBERT: E...? *(pojmuje)* Robert Borowiecki.

MARTA: Urodzony...

ROBERT: Doktorze, nie moglibyśmy przełożyć tych formalności na inny dzień?

ANDRZEJ: Dobrze. *(do Marty)* Dziękuję. Sam zapiszę najważniejsze rzeczy.

ROBERT: *(do Andrzeja)* Dziękuję. Pani wybaczy, ale się spieszę. Za godzinę mam kolację z Zarządem.

MARTA zostawia kartę na biurku i wychodzi.

Poza tym, doktorze, niektórych intymnych spraw lepiej nie omawiać przy obcych... nawet jeśli to pielęgniarza. Nie sądzi pan?

ANDRZEJ: Nie ma sprawy. Wszystko zależy od pana.

ROBERT: Postaram wyrażać się najjaśniej, jak mogę. Żeby zaoszczędzić nam czasu, może lepiej by było, żeby znaleźli się tu wszyscy zainteresowani?

ANDRZEJ: Nie rozumiem.

ROBERT: Powiem jaśniej. Chodzi o moją żonę. Sylwię. Wiem, co łączy pana z moją żoną. Wiem to od jakiegoś czasu.

ANDRZEJ: Pomiedzy mną a pańską żoną nie ma nic poza relacją czysto zawodową.

ROBERT: Ma mnie pan za idiotę? Wiem, że zdradzani mężowie zazwyczaj są idiotami, którzy robią za pośmiewisko. Chociaż akurat ta rola przypadła mi w udziale, zapewniam pana, że nie jestem idiotą, ani nie mam zamiaru pozwolić, żeby ktokolwiek się ze mnie śmiał. Czy to jasne? A teraz, żebyśmy nie marnowali więcej czasu, będzie pan tak łaskaw i zawoła Sylwię?

Wchodzi Sylwia.

SYLWIA: Dobry wieczór, Robercie.

ROBERT: *(radośnie idzie jej na spotkanie)* Kochanie, nie masz pojęcia, jaki ci jestem wdzięczny. Czy mógłby pan poczęstować moją żonę papierosem? Ona owszem, pali papierosy. Ale co ja gadam! Jakby pan tego nie wiedział. Tak czy siak, mogę wreszcie przejść do rzeczy. Świat biznesu nauczył mnie, że trzeba być realistą. Uciekanie się do półśrodków lub żalonych kłamstw jest zgubne w skutkach, bo zupełnie się nie opłaca. Wybaczcie mi ten niewielki wstęp, ale pomyślałem, że jest niezbędny, abyśmy stanęli twarzą w twarz z tą sytuacją, bez hipokryzji i fałszywej pruderii.

ANDRZEJ: Wolałbym, żebyśmy wyjaśnili to sobie sam na sam. Pan i ja.

ROBERT: Nie wydaje mi się, żeby to było słuszne, biorąc pod uwagę, że to dzięki niej obaj tu jesteście. Nasza sytuacja, jakby tak na nią spojrzeć, jest stara jak świat. W paru krótkich słowach: żona, mąż i... kochanek. Mógłby pan to wyjaśnić inaczej, może jeszcze jaśniej?

SYLWIA: *(do Andrzeja)* Pozwól mu przedstawić swój punkt widzenia. To może być interesujące.

ROBERT: Zawsze doceniałem twój niesamowity zmysł praktyczny, kochanie. Kolejny raz trafiłaś w sedno. Czy pan, kochany panie doktorze, chciałby się ożenić z moją żoną, gdyby była wolna?

ANDRZEJ: Oczywiście.

ROBERT: Proszę się dobrze zastanowić, zanim da pan ostateczną odpowiedź. Wykładamy karty na stół. Zapytam pana jeszcze raz: ożeniłby się pan z nią?

ANDRZEJ: Tak.

ROBERT: Dobrze. A ty, Sylwio, wyszłabyś za niego, gdyby ci się oświadczył?

SYLWIA: Tak.

ROBERT: Czegóż innego mógłbym się po tobie spodziewać? Jesteś szczerą i uczciwą... do pewnego stopnia, rzecz jasna.

ANDRZEJ: Panie Borowiecki!

ROBERT: Krótko mówiąc, wasze szczęście zależy tylko ode mnie. Albo, żeby było jaśniej, cena tego szczęścia jest tylko jedna: moja śmierć. Sylwia, nie przyszło ci to nigdy do głowy?

SYLWIA: Owszem.

ROBERT: Tak myślałem.

ANDRZEJ: Ale ani przez moment nie pomyślała o...

ROBERT: W to też wierzę. Może weźmie mnie pan za głupca, ale jestem pewien, że Sylwia aż tak mnie nie nienawidzi. A może się mylę?

SYLWIA: Nie.

ROBERT: Po prostu się zakochałaś... Powinienem był brać takie ryzyko pod uwagę. Jesteś młodą, atrakcyjną kobietą, mężczyźni za tobą szaleją, tak jak ja, kiedy cię poznałem. Olśniła mnie twoja uroda, a ciebie stan mojego konta. Może was to zaskoczy, ale przez zbieg niefortunnych okoliczności, poza wami jest jeszcze jedna osoba, bardzo zainteresowana tym, żebym stał się, nazwijmy to, świętej pamięci panem Borowieckim. Tą osobą jestem ja sam.

ANDRZEJ: Co takiego?

ROBERT: Jak pan widzi, wszyscy troje mamy wspólny interes. Dla dobra nas wszystkich, proszę pana, doktorze, aby wymazał pan moje nazwisko z listy istot żyjących.

ANDRZEJ: Co pan mówi?

ROBERT: *(uśmiechając się)* Na miłość boską, doktorze, nie proszę, żeby mnie pan zabił. Tylko żeby pan usunął moje nazwisko, ot tak, po prostu.

ANDRZEJ: Nie rozumiem.

ROBERT: Spróbuję przystępniej. Firma Robert Borowiecki ze swoją wielką stocznia i agencjami handlowymi to kolos na glinianych nogach, który łąda chwila runie. Kiedy to trafi do publicznej wiadomości, będzie oznaczało nie tylko mój upadek, ale, prawdopodobnie, więzienie. Nadaża pan? Zważywszy motywy Sylwii, które zaważyły na wyjściu za mnie, nazwijmy je ekonomicznymi, żeby uniknąć przykrych niespodzianek, zapisałem na nią polisę na 20 milionów i regularnie ją opłacałem...

ANDRZEJ: A pan mnie prosi, żebym podpisał fałszywy akt zgonu, żeby móc podjąć te pieniądze.

ROBERT: Właśnie. Widzę, że pan zrozumiał. W małych miejscowościach nie ma żadnej kontroli. Wystarczy podpis jednego lekarza, w tym przypadku tak wpływowego jak pan, żeby legalnie przenieść się na tamten świat.

ANDRZEJ: A jeśli się nie zgodzę?

ROBERT: Proponuję szczęście panu i ukochanej kobiecie w zamian za wypełnienie prostej rubryczki. Tylko kłopotliwa sytuacja w której się znajduję sprawiła, że cena jest tak niska. I obiecuję wam, że więcej o mnie nie usłyszycie. Mnie samemu najbardziej zależy na tym, by zniknąć. Szczęśliwi na zawsze - nie podoba wam się ten pomysł? Sylwia osobiście zawiezie pieniądze z polisy do szwajcarskiego banku. Zostawi walizkę z pieniędzmi w skrytce wynajętej na fałszywe nazwisko. Taka mała nagroda pocieszenia.

ANDRZEJ: A jeśli Sylwia nie przekaze panu pieniędzy?

ROBERT: W Szwajcarii rygorystycznie kontrolują to, co chce się zdeponować w skrytce. Najpierw sprawdzą, co jest w walizce, a potem dyskretnie pozwolą to zostawić. Ale ja mam do niej całkowite zaufanie. Gdybym wrócił, straciłaby wszystko, co ma, włącznie z pieniędzmi, które trzeba by było zwrócić firmie ubezpieczeniowej.

ANDRZEJ: Przecież sam akt zgonu nie wystarczy. Są jeszcze inne procedury. Trzeba sfingować śmierć, pogrzeb...

ROBERT: Mam spore możliwości, Sylwia to wie. Mam przyjaciół, wpływy. Wciąż jeszcze jestem Robertem Borowieckim.

ANDRZEJ: Przykro mi wyprowadzać pana z błędu, ale przyjął pan za pewnik, że przystanę na pańskie żądania.

ROBERT: Kochany panie doktorze, ja niczego nie przyjmuję za pewnik. To nie są decyzje, które można podjąć ot, tak... Trzeba wszystko przemyśleć, żeby podjąć taką decyzję. Nie ma zbyt wiele czasu. Proszę porozmawiać z Sylwią. Wrócę jutro, żeby mnie pan zbadał i wspólnie podejmiemy decyzję, jaka przyczyna mojej śmierci byłaby najkorzystniejsza. Może serce. To byłoby najbardziej prawdopodobne. Zresztą pan będzie wiedział lepiej ode mnie.

ANDRZEJ: Zakładając, że na to wszystko przystanę.

ROBERT: Naturalnie doktorze, zakładając, że pan przystanie. Do widzenia. *(do Sylwii)* Do wieczora. Nie czekaj na mnie, wrócę późno. Te kolacje biznesowe nigdy nie kończą się o sensownej godzinie.

SYLWIA: *(do Roberta)* Sądziś, że to najlepsze wyjście na nas wszystkich?

ROBERT: Obawiam się, że to jedyne wyjście.

SYLWIA: Jak długo będziesz w stanie ukrywać złą sytuację firmy?

ROBERT: Tylko parę dni.

SYLWIA: Niech się dzieje, co chce, będziemy musieli to zrobić. Im szybciej, tym lepiej.

ROBERT: Tak, kochanie, trzeba to zrobić, im szybciej, tym lepiej. Dobranoc, doktorze, do jutra. *(wychodzi)*

ANDRZEJ: *(puszczają mu nerwy)* To jest wymuszenie, ohydny szantaż! Nie mogę się na to zgodzić, nie jestem aż taki szalony. To jest za bardzo ryzykowne! Falszywe dokumenty! Nie, Sylwia, nie mogę. Nie widzisz tego? To niemożliwe. Nie zrobię tego, nie mogę tego zrobić! Musisz to zrozumieć. *(Sylwia jest zamyślona, nieobecna)* No dobrze, powiedz cokolwiek... O czym myślisz?

SYLWIA: O tym jak pewnie cierpi Robert. Wszystko wokół niego się wali. Jego świat, ja, interesy, które były prawie sensem jego istnienia...

ANDRZEJ: Dlaczego teraz mi o tym mówisz?

SYLWIA: Zapytałeś mnie, o czym myślę, to ci odpowiadam.

ANDRZEJ: Jeśli jedyną rzeczą, która cię martwi, jest twój mąż, to leć za nim, jeszcze go dogonisz.

SYLWIA: O co ci chodzi? Chyba nie jesteś zazdrosny?

ANDRZEJ: A jeśli jestem?

SYLWIA: To niedorzeczne. Przecież widzisz, że zrobię dla nas wszystko. Ale to, że cię kocham nie jest powodem do tego, żebym nie czuła odrobiny litości. Żyłam wiele lat u jego boku, był dla mnie hojny. Byłabym niewdzięczna, gdybym tego nie przyznała. Posłuchaj, zdecydujesz co zdecydujesz, będzie co będzie, jest jedna rzecz, o której nie możesz zapominać. O tym, że cię kocham, że cię kocham bardziej niż cokolwiek na świecie.

ANDRZEJ: Ja też cię kocham. Ale nie mogę, nie jestem w stanie, nie możesz mnie o to prosić.

SYLWIA: Andrzej.

Scena druga

Ta sama scenografia, parę dni później. Późny wieczór. Pada deszcz. Tylko jedna stojąca lampa oświetla scenę. W fotelu, vis a vis popielniczki pełnej niedopalków, Andrzej pali papierosa, jest bardzo zdenerwowany. Gdzieś w oddali zegar wybija dziesiątą. Andrzej patrzy

na swój zegarek i wstaje. Patrzy przez mokre okno w deszczową noc. Dzwoni telefon. Odbiera gwałtownie, jakby czekał na pilny telefon.

ANDRZEJ: *(z niepokojem)* Słucham? Tak, to ja. *(rozczarowany)* Przykro mi, ale w tej chwili nie mogę wyjść. Proszę jutro zadzwonić do mojej asystentki, ona się panem zajmie. *(odkłada słuchawkę, przez chwilę patrzy na telefon, wreszcie podejmuje decyzję i wybiera numer)* Pani Borowiecka? Mówi doktor... Aaa... Nie ma jej? Nie, to nic ważnego. Chciałem tylko przeprosić, że nie mogłem dziś być dziś na pogrzebie. Dziękuję. *(odkłada, nagle słyszy hałas, Andrzej nasłuchuje, wchodzi Sylwia)* Sylwia! Co ty tu robisz?

SYLWIA: Uspokój się, wszystko poszło świetnie.

ANDRZEJ: To był najgorszy dzień w moim życiu.

SYLWIA: Wcale mnie to nie dziwi.

ANDRZEJ: Miałem takie wizje, kiedy chodziłem tu jak lew w klatce... Wyobrażałem sobie wszystko, co się działo. Orszak żałobny, trumnę, kościół, cmentarz...

SYLWIA: Nie było się o co martwić. Wszystko było idealnie zaplanowane.

ANDRZEJ: A nieprzewidziane zdarzenia? Zawsze może coś nawalić, ktoś może coś podejrzewać. Albo odkryć jakiś szczegół. Przyszedł jakiś inspektor z firmy ubezpieczeniowej?

SYLWIA: Nie. Nie było nikogo. Po co miałyby przychodzić?

ANDRZEJ: Wydaje mi się logiczne, że przy takiej kwocie, podejmą środki ostrożności.

SYLWIA: Podpis szanowanego lekarza jest wystarczającą gwarancją.

ANDRZEJ: Szanowanego lekarza! Kiedy to jest właśnie to, co mnie najbardziej martwi. To że podpisałem akt zgonu! Musiałem to zrobić, wiem, ale... A jeśli to odkryją?

SYLWIA: Nikt niczego nie odkryje. Wszystko jest zgodne z prawem. Nie myśl o tym więcej.

ANDRZEJ: To było jak koszmarny sen.

SYLWIA: Który na szczęście się skończył. Razem o nim zapomnimy. Bardzo szybko...

ANDRZEJ: Oby. Gdzie byłeś?

- SYLWIA: Zaraz ci wszystko opowiem. (*bierze telefon, wybiera numer*) Adela? Mówi... Zepsuł mi się samochód i musiałam go zostawić w warsztacie przy autostradzie. Nie, nie takiego, ale do rana go nie naprawią, więc nie wrócę na noc do domu. Co? Dzwonił jakiś lekarz? I czego chciał? Dobrze. Nikt więcej? Idź spać, dzisiaj był sądny dzień dla wszystkich. Dziękuję. (*odkłada słuchawkę*) Powiedziałam im, że jadę do domu na wsi, żeby trochę uspokoić nerwy. Zostawiłam samochód w jakiejś wiosce po drodze i wróciłam pociągiem. Nie byłam w stanie być tej nocy sama w domu. Czuję się tak, jakby naprawdę ktoś umarł. Po co dzwoniłeś?
- ANDRZEJ: Niecierpliwiłem się. Nie miałem żadnych wieści. Upierałaś się, żebym przez cały dzień nie zbliżał się do twojego domu.
- SYLWIA: To było ryzykowne.
- ANDRZEJ: Nie wiem, dlaczego.
- SYLWIA: Proszę cię, już o tym rozmawialiśmy! Wystarczająco dużo. Każda nieostrożność, słowo, nierozważne spojrzenie, gest. I cały misterny plan...
- ANDRZEJ: I nikogo nie zdziwiło, że nie przyszedłem na pogrzeb?
- SYLWIA: A czemu ktoś miałby się zdziwić?
- ANDRZEJ: A jak tam twój mąż?
- SYLWIA: Podejrzewam, że o tej porze zdążył już przekroczyć granicę.
- ANDRZEJ: A jeśli ktoś go rozpoznał?
- SYLWIA: Nie martw się, jest bardzo przezorny. A do tego ten jego stoicki spokój. Miał wszystko dokładnie przemyślane. Bez jego wsparcia chyba bym zemdląła. To było straszne, przerażające...
- ANDRZEJ: Czym zastąpiliście ciało?
- SYLWIA: Robert przygotował worki z piaskiem. Sam włożył je do trumny i zamknął wieko. Ten dźwięk wbijania gwoździ był okropny! Wydaje mi się, że ciągle go słyszę.
- ANDRZEJ: A msza? Niczego nie zauważyli?
- SYLWIA: Nie, oczywiście że nie. Odegraliśmy na jego cześć koszmarną maskaradę, zaraz po tym jak ty wyszedłeś, przy informowaniu wszystkich o jego śmierci. Pełny wachlarz, płacze, krzyki... Poinformowaliśmy stocznię, prasę i zakład pogrzebowy. Ci mroczni mężczyźni, którzy nieśli trumnę, czarna krepą! Potem zaczęli schodzić się ludzie, cały tłum. Większości nie znałam. Wszyscy podchodzili do

mnie, żeby złożyć mi kondolencje. Zrobił się z tego jakiś makabryczny karnawał.

ANDRZEJ: Ale pewnie przyszła też rodzina, przyjaciele...

SYLWIA: Oczywiście, wszyscy przyszli. Urządziliśmy kaplicę w saloniku, koło jego gabinetu. Było ciemno, stały tylko cztery świece, a wszystko tonęło w wieńcach. Robert ostatnio dużo mówił o tym, że kiedy już umrze, chce zostać zapamiętany żywy. Świetna wymówka, żeby uniknąć ciekawskich.

ANDRZEJ: Tak czy inaczej, nie byłby w stanie powstrzymać tych, którzy chcieliby się z nim pożegnać.

SYLWIA: Kiedy przyszli, wieko trumny było już zamknięte, było po wszystkim.

ANDRZEJ: A urzędnicy? Przecież to oni są odpowiedzialni za...

SYLWIA: Przestań, przestań! Nie wystarczy nam ten cały dzień?

ANDRZEJ: Tak... Masz rację. *(Sylwia otwiera torbę, z której wyjmuje pistolet i chustkę)* Nosisz przy sobie pistolet?

SYLWIA: To Roberta. Zawsze mam go przy sobie. Dzięki temu czuję się pewniej. Dalej pada. Lubię deszcz... Jak byłem mała, siedziałam godzinami na ganku i słuchałam odgłosów deszczu. To takie uspokajające...

ANDRZEJ: Ktoś może zobaczyć cię z ulicy!

SYLWIA: Co się z tobą dzieje?

ANDRZEJ: Nie chciałbym, żeby ktoś cię tu zobaczył.

SYLWIA: Mamy zszargane nerwy, ale to wszystko już się skończyło i to szczęśliwie. Musisz wbić to sobie do głowy. To się skończyło!

ANDRZEJ: Masz rację...

SYLWIA: Już nic nam nie grozi, rozumiesz mnie? Nic nam nie grozi!

ANDRZEJ: Sylwia...

SYLWIA: Przytul mnie mocno, mocniej. Mamy całą noc, żeby się kochać, a potem całe życie... Cała reszta nie istnieje. Nie istnieje!

Całują się, Andrzej zaczyna zdzierać z niej ubranie. Nagle zapala się światło, oślepiające światło. Wchodzi Marta, która właśnie przyszła z zewnątrz.

MARTA: Przepraszam. Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Nie widziałam światła z ulicy. Rano zapomniałam teczki i przyszłam po nią. Wrócę kiedy indziej.

ANDRZEJ: *(agresywnie)* Nie, wejdź. Zabierz teczkę i idź.

MARTA: Jeszcze raz przepraszam. *(przechodzi przez scenę i kieruje się do biura, ale teczki nie ma)* Nie mogę jej znaleźć. Byłam przekonana, że zostawiłam ją u pana na biurku. Przepraszam. Widać zostawiłam ją gdzieś indziej. Jeszcze raz przepraszam. *(idzie szybko w kierunku drzwi)*

ANDRZEJ: Marta... *(ta wraca)* Eee... Nie, nic. Dobranoc.

MARTA: Dobranoc. *(wychodzi)*

SYLWIA: Po co tu przyszła?

ANDRZEJ: Powiedziała, że...

SYLWIA: Słyszałam, co powiedziała, ale to kłamstwo. Dobrze wiedziała, że nie zostawiła tu swojej teczki.

ANDRZEJ: Ale Sylwia...

SYLWIA: Uważaj na nią. Jest w niej coś, co mnie przeraża.

Scena trzecia

Ta sama dekoracja. Słoneczny poranek rok później. Sylwia ogląda próbki tkanin. Marta jej pomaga.

SYLWIA: Na rolety wezmę chyba ten materiał. Będzie pasował do nowych obić. Jak myślisz?

MARTA: Mój gust nie ma znaczenia, to pani musi się podobać.

SYLWIA: *(z wyrzutem)* Oczywiście. Możesz mi podać tamtą próbkę? *(Marta robi to)* Zdecydowanie ta. I niech pomalują ściany na jasny kolor, bardzo jasny. Chcę, żeby na nasz powrót dom wyglądał zupełnie inaczej, żeby był bardziej przytulny, weselszy. Gabinet lekarski nie musi być taki poważny ani smutny.

MARTA: Nie sędzę, żeby doktor uważał, że tu jest smutno.

SYLWIA: Możliwe. Ale ja chcę, żeby w naszym małżeństwie wszystko było radosne, świetliste. *(pauza)* Marta, od dłuższego czasu chciałam z tobą porozmawiać. Od pierwszego dnia byłaś wobec mnie... Jak to powiedzieć... Podejrzliwa, niezbyt uprzejma, traktowałaś mnie prawie z wrogością.

MARTA: Przepraszam, nie miałam takich intencji.

SYLWIA: Wiem, co o mnie myślisz. Zaskoczyłaś mnie z Andrzejem tamtej nocy i nie możesz mi wybaczyć, że z nim byłam i to parę godzin po pogrzebie mojego męża. Myślę, że jestem ci winna wyjaśnienie, aczkolwiek muszę przyznać, że to dla mnie trudne...

MARTA: Nie musi mi pani niczego tłumaczyć.

SYLWIA: Proszę, chciałabym, żebyś mnie wysłuchała. Moje małżeństwo... Chociaż udawaliśmy przed całym światem i zachowywaliśmy pozory, to nie było szczęśliwe małżeństwo. Obcy ludzie uważali nas za idealną parę. Ten wizerunek był na rękę Robertowi, robił wrażenie poważnego, godnego zaufania. Klienci, interesy... Wiesz, jak to jest. Tak było przez długi czas. Ale w moim życiu coś się zmieniło. Na przyjęciu w domu znajomych poznałam Andrzeja. I się w nim zakochałam. Na początku, chociaż oboje znaliśmy swoje uczucia, próbowaliśmy je ignorować. Unikaliśmy spotkań. Potem już nie można było udawać. Tamtej nocy miałam pierwszy raz być sama w domu. Śmierć mojego męża była dla mnie wielkim ciosem. Koniec końców, mimo że nie byliśmy ze sobą blisko, spędziliśmy tyle lat życia razem. Byłam przygnębiona, czułam się samotna. Musiałam uciec z tego miejsca, które przypominało mi tyle rzeczy...

MARTA: *(sucho)* To wszystko?

SYLWIA: No, tak... Oczywiście.

MARTA: Skoro nie ma pani mi już nic więcej do powiedzenia. Przepraszam, ale jest już późno. Muszę wracać do gabinetu.

SYLWIA: Chciałabym, żebyśmy zostały przyjaciółkami. My będziemy mieszkać na górze, a ty jak zawsze będziesz pomagać doktorowi.

MARTA: Doktor jeszcze pani nie powiedział?

SYLWIA: Czego?

MARTA: Odchodzę, można powiedzieć, że już odeszłam. To mój ostatni dzień.

SYLWIA: Dlaczego?

MARTA: Wezmę parę dni wolnego, jestem przemęczona. Potem poszukam innej pracy, może w jakimś szpitalu w Warszawie.

SYLWIA: Ale dlaczego? Andrzej potrzebuje cię teraz bardziej, niż kiedykolwiek. Właśnie teraz...

MARTA: Bez problemu znajdzie kogoś, kto mnie zastąpi. Byle pielęgniarka wdroży się raz dwa.

SYLWIA: Podejrzewam, że czego bym nie powiedziała, nie uda mi się namówić cię do zmiany decyzji.

MARTA: To prawda.

SYLWIA: Dobrze. Idź. Faktycznie jest późno. *(Marta zbiera się do wyjścia, ale Sylwia znów zaczyna mówić)* Szkoda, że odchodzisz z pracy, ale może tak będzie lepiej. Byłaś tu sama, wszystkim rządziłaś, żadnej konkurencji. A teraz czujesz się pokrzywdzona, jakbym przysłała i siłą wydarła coś, co ci się należy. Dlatego znienawidziłaś mnie od pierwszej chwili. Przykro mi, ale nie mogę nic na to poradzić.

MARTA: Faktycznie, nic. Z doktorem zawsze byliśmy dla siebie serdeczni, mieliśmy do siebie zaufanie. Wszystko się popsuło, kiedy pani się tu pojawiła. Czuję się niezręcznie, jakby ktoś odstawił mnie do kąta... Dobrze pani wie, co mam na myśli.

SYLWIA: Co chcesz przez to powiedzieć?

MARTA: Myśli pani, że nie wiedziałam, co się dzieje wtedy, w sklepie z materiałami na Wawelskiej? Ta starsza pani, to klientka, była u nas parę razy. Robiłam jej zastrzyki. Ni z tego ni z owego, już mnie nie potrzebowała. Jak mogłam nie zauważyć? Mogłabym z pamięci wyliczyć dni i godziny jej wizyt. A poza tym ma pani rację, czuję się zraniona. Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

SYLWIA: Nie, nie.

MARTA: Miłego dnia. *(wychodzi, Sylwia odprowadza ją wzrokiem, potem ze złością gasi papierosa, w tej samej chwili wchodzi komisarz Roicki)*

ROICKI: *(pokazując na drzwi, którymi wyszła Marta)* Co się stało tej dziewczynie? Ah, przepraszam. Jest doktor Lipski?

SYLWIA: Nie, nie ma go w tej chwili.

ROICKI: O nie, nie jestem chory. Och, odpukać w niemalowane. Ja w prywatnej sprawie.

SYLWIA: Może mogę panu jakoś pomóc? Przez to zamieszanie ze ślubem jest ostatnio bardzo zajęty.

- ROICKI: Coś takiego. Żeni się? Nieźle, nieźle. Myślałem, że nigdy się na to nie zdecyduje. Był ostatnim z naszej paczki, który nadal był kawalerem. Koniec końców, wcześniej czy później, wszyscy wpadamy. Czy przypadkiem nie chodzi o panią? A, jasne, no to wyjaśnia wszystko. Nawet on nie był w stanie oprzeć się takiej kobiecie.
- SYLWIA: Dziękuję bardzo.
- ROICKI: Znamy się od dziecka, graliśmy razem w piłkę na podwórku. Chodziliśmy do tej samej szkoły. Kujon, zawsze był najlepszy w klasie. A jego ojciec jaki był z niego dumny! Nie było innego tematu do rozmowy, tylko synek. Ty go pewnie nie poznałeś, umarł dawno temu. Porządny facet, ale dawał nam w kość, bo jak tylko wracaliśmy do domu, słyszeliśmy: „Może byś wziął przykład z Andrzejka, Andrzejek dostał trzy piątki, Andrzejek dostał stypendium...” Uf! Ale był w porządku, nie raz pomagał mi w matematyce. Pamiętam jak w jakąś niedzielę... Tak, to była niedziela, a może poniedziałek? Zresztą, wszystko jedno, zbliżał się sprawdzian, poszedłem do niego do domu, a jego ojciec... Nudzę cię. Już się zamykam. Straszny ze mnie gaduła i jak tylko złapię kontakt... A ty masz pewnie co robić... Mną się nie przejmuj, można mnie zostawić samego, zajmij się swoimi rzeczami.
- SYLWIA: Chyba lepiej by było, gdybyś przyszedł kiedy indziej. Andrzej może wrócić późno.
- ROICKI: A, nie spieszy mi się. Jestem tu przejazdem, mam kilka godzin między jednym a drugim pociągami i pomyślałem, że wykorzystam okazję i uściskam starego kumpla, którego nie widziałem tyle czasu.
- SYLWIA: Przepraszam, ale właśnie miałam iść na zakupy. Jak jeszcze trochę zabawię, zastanę pozamykane sklepy.
- ROICKI: Skoro tak, wrócę wieczorem. Proszę mu powiedzieć, że przyjechałem. Ucieszy się. Moja wizytówka.
- SYLWIA: Dobrze.
- ROICKI: Proszę mu powiedzieć, że przyjechał „Kopa”, zobaczy pani, jak będzie się śmiał. Chłopaki mnie tak przezwalili, bo podobno kiedy miałem rzut wolny, mówiłem do bramkarza: „Zobaczysz, ale dam kopa...” I tak zostało, „Kopa”.
- SYLWIA: *(czyta wizytówkę)* Komisarz Roicki. Komisarz policji?

(...)

www.rubi.pl

rubi@rubi.pl